ROK XXX. We Lwowie, dnia 15. stycznia 1923. Nr. 2.

GAZETA KOŚCIELNA

Przedpłata na 1-e półrocze r 1923: 5.000 m. W Ameryce pół dolara. Numer pojedynczy: 150 m.

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KOŚCIELNYM I SPOŁECZNYM.
ORGAN TOWARZYSTWA WZAJEMNEJ POMOCY KAPŁANÓW.
Wychodzi na razie tylko 1-go i 15-go każdego miesiąca.

Redakcya, Administracya i Ekspedycya X. Dr. A. PECHNIK, Sykstuska 64. Inseraty przyjmuje się za opłatą 80 Mk. od wiersza petitu. Reklamacye otwarte wolne są od opłaty pocztowej.

TREŚĆ: Od Redakcji. — Na marginesie artykułu „Brak kapłanów w Polsce i środki zaradcze.“ — Kościół i „rozwody kościelne“. — Wrażenia z podróży do Włoch. (C. d.) — Jak urządzać misje i rekolekcje ludowe? — Ernest Psichari. — Listy z Belgji. — Kronika kościelna. — Reinkarnacja. — Nowe książki. — Odezwa.

Od Redakcji.

Do tego nru wkładamy blankiety nadawcze P. K. P. dla wszystkich Czcig. Prenumeratorów. Kto już przesłał przedpłatę na ten rok przekazem, raczy zachować blankiet do późniejszego użytku.

Na marginesie artykułu „Brak Kapłanów w Polsce i środki zaradcze“.

Sprawa, poruszona pod powyższym tytułem, jest sprawą pierwszorzędnej wagi dla naszego Kościoła, naszego narodu, naszego państwa. Przed jedenastu przeszło laty zakończyłem mój wykład publiczny (przy inauguracji nowego roku akademickiego 1911/12 w auli uniwersytetu lwowskiego): „Nowe zagadnienia duszpasterstwa“ stwierdzeniem faktu, że wobec coraz nowych, coraz bardziej skomplikowanych zagadnień nowoczesnego duszpasterstwa potrzeba więcej kapłanów, niż było wówczas w naszych diecezjach i to kapłanów przygotowanych lepiej i wszechstronniej do swego wzniosłego a co raz trudniejszego powołania. Od tego czasu zmieniło się wiele, a potrzeba znacznie liczniejszego i znacznie lepiej przygotowanego i wyrobionego kleru stała się o wiele jeszcze gwałtowniejszą. Wielka wojna światowa sprowadziła obok olbrzymiej ruiny materjalnej, ogromne a niekorzystne zmiany w dziedzinie moralności: demoralizacja, wprost zdziczenie mas ludności, inwazja „amerykańskich“ apostołów wszelkich kościołów narodowo niezależnych, metodystów, anabaptystów etc., zaraza rozwodów, a co się z tem łączy, apostazji od wiary, są faktem niezbitym. Ten fakt wymaga intenzywnego wytrwałego przeciwdziałania ze strony całego wierzącego społeczeństwa, ale w pierwszym rzędzie ze strony duchowieństwa. Tymczasem liczba kapłanów w wielu diecezjach polskich zmniejszyła się, zwłaszcza we wschodnich najbardziej przez wojnę nawiedzonych diecezjach. Ubytek tem dotkliwszy, że z powodu poborów do wojska w czasie wojny zmniejszyła się w zaborze austrjackim i pruskim liczba kleryków w seminarjach i nowowyświęconych kapłanów. Obecnie nie doszły niektóre seminarja do swego normalnego, przedwojennego stanu, a o powołania do stanu duchownego coraz trudniej. Z jednej strony zniweczyła służba wojskowa niejedno powołanie, z drugiej strony łatwość uzyskania stanowiska (zwłaszcza na kresach) bez ukończenia studjów stanowi znaczną pokusę dla słabszych charakterów do opuszczania seminarjów duchownych. A przed nami otwierają się tak wielkie pola pracy duszpasterskiej! W b. zaborze pruskim i rosyjskim powstało mnóstwo szkół polskich, które potrzebują nauczycieli religji, a więc przedewszystkiem duchownych. Kresy wschodnie, na których ludność polska i rzymsko-katolicka jest rozprószona bądź między unickimi Rusinami we Wschodniej Małopolsce, bądź między prawosławnymi na Wołyniu i Polesiu, wymagają specjalnie intenzywnej pracy i stosunkowo większej liczby kapłanów. A praca dla katolików w Rosji! Wszak to nasi bracia nietylko pod względem wyznania i obrządku, ale prawie wszyscy także pod względem narodowości. Rosja dzisiejsza, to najcięższe chyba w świecie „territorium missionum“, zlecone przez samą Opatrzność przedewszystkiem naszemu, w Polsce wychowanemu i wykształconemu klerowi. A więc „messis multa, plurima“, a operarii (w stosunku do niej) „pauci, paucissimi.“

Zastanawiając się nad sposobami, jakimi możnaby pomnożyć liczbę kapłanów w Polsce, chciałbym wykluczyć z góry dwa, może najprostsze, ale z pewnością nieodpowiedne. Mógłby mianowicie ktoś tak rozumować: trzeba kandydatom stanu duchownego czynić jak najdalej idące ułatwienia, to będzie ich więcej. Przyjmować np. wprost na studja teologiczne młodzieńców z byle jak ukończoną VI-ą klasą jakiegokolwiek gimnazjum, skrócić i uprościć studja teologiczne, obniżyć wymagania przy egzaminach, a może i kwalifikacje etyczne kandydatów i będzie dobrze. Przedewszystkiem jestem przekonany, że w ten sposób nie uzyskanoby, przynajmniej na stałe, znaczniejszej liczby kandydatów do stanu duchownego; doświadczenie poucza, że zakony, które zachowują ściśle swą regułę, mają liczne i dobre powołania, a zgromadzenia zakonne, w których życie duchowne i reguła są zaniedbane, wegetują marnie lub wymierają zupełnie. A zresztą, gdyby nawet przez obniżenie wymogów intelektualnych lub etycznych można uzyskać znaczniejszą liczbę powołań, nie należałoby tego czynić. Źle jest, że mamy za mało powołań kapłańskich: gorzej byłoby, gdybyśmy mieli wielu, ale niedouczonych lub lichych kapłanów, zwłaszcza w obec wymagań dzisiejszej doby. Ś. p X. Królicki pisze słusznie w swym: „Homo Dei“, iż lepiej, by się Chrystus uskarżał, że (z powodu braku kapłanów) „torcular calcavi solus“, niż by miał boleć: „pastores multi demoliti sunt vineam meam“!

Nie chciałbym też, by ktoś sądził, że możnaby uzyskać znaczniejszą ilość powołań, zapewniając kapłanom, zwłaszcza początkującym, lepsze uposażenie, życie wygodne i bez troski. Wiem, że należy starać się o to, by zmniejszyć

rażącą nierówność w uposażeniu kleru, że należy zapewnić pewne „minimum“ dochodów (congruam sustentationem) każdemu pracownikowi w naszym zawodzie, a zwłaszcza tym, którym wiek lub choroba nie pozwala pracować. Ale pozyskiwanie młodych adeptów do stanu duchownego wyłącznie lub przeważnie nadzieją obfitego wynagrodzenia jest środkiem nieetycznym, nie odpowiadającym idei wyższego, Boskiego powołania, byłby to też środek dla lepszych, szlachetniejszych jednostek nieskuteczny, a z tych, których względy materjalne skłaniają do stanu duchownego, może Kościół śmiało zrezygnować.

Chciałbym dalej dać parę pozytywnych wskazówek, jak możnaby nawet przy obecnej, niewątpliwie zbyt małej liczbie kleru, uzyskać lepsze wyniki w duszpasterstwie ew. w innych gałęziach pracy kapłańskiej. Jednym z nich to lepsze wyzyskanie istniejących sił kleru świeckiego, lepsza, sprawniejsza, zastosowana do dzisiejszych potrzeb, organizacja. W niektórych diecezjach znajdzie się bodaj pewna liczba stanowisk duchownych nie koniecznych, a nawet zbędnych; gdzie są takie mniej potrzebne beneficja, n. p. t. z. beneficia simplicia, rektoraty, maleńkie probostwa lub ekspozytury, możnaby je albo znieść zupełnie, albo obsadzać kapłanami niezdolnymi do cięższej pracy, albo wreszcie (o ile są w wielkich miastach) nadawać je zamiast stypendjów kapłanom, którzy pragną kontynuować studja teologiczne lub specjalizować się w pewnych dziedzinach wiedzy teologicznej. Młodsi członkowie kapituł katedralnych lub kolegjackich mogliby (jak się to dzieje zwłaszcza w b. zaborze rosyjskim) piastować obowiązki kanclerzy, rektorów seminarjów, proboszczów lub profesorów teologji; w nowo tworzyć się mających diecezjach możnaby na razie zastąpić kapituły katedralne t. z. konsultorami diecezjalnymi (can. 423—428 nowego kodeksu), jak to ma miejsce w wielu krajach i to nawet takich (np. Holandja), które mają znacznie większą ilość kleru niż Polska. Niemało sił i to nieraz wybitniejszych, możnaby zaoszczędzić przez zwinięcie w niektórych diecezjach, zwłaszcza nowo utworzonych lub mniej zasobnych w kler, osobnych diecezjalnych seminarjów dla kleryków i zakładów naukowych teologicznych i tworzenie t. z. seminarjów międzydiecezjalnych (semin. interdioecesanum vel regionale c. 1354 §. 3) na wzór włoskich, kreowanych przez ostatnich papieży (Piusa X, Benedykta XV i Piusa XI.). Takie seminarja posyłałyby swych alumnów na wydziały teologiczne w uniwersytetach, któreby mogły otrzymać wówczas lepszą dotację naukową, więcej katedr etc. Zwłaszcza przy tworzeniu nowych diecezji możnaby przynajmniej na razie zrezygnować z kreowania nowych zakładów teologicznych o małej ilości uczniów i profesorów. Możnaby dalej wyzyskać w pewnej mierze w pracy duszpasterskiej siły kapłanów, nie zajętych w niej ex offo: kanoników, profesorów, katechetów a nawet młodszych i zdrowszych emerytów; rozumie się samo przez się, iż ta praca dodatkowa nie powinna żadną miarą odrywać tych kapłanów od ich właściwej, zawodowej czynności.

Znaczną pomocą w pracy duszpasterskiej jest w niektórych zwłaszcza diecezjach małopolskich (n. p. lwowska), działalność zakonów męskich, których członkowie nietylko pomagają w niej dorywczo n. p. przez udzielanie misji, rekolekcje, zastępstwo chorych lub nieobecnych duszpasterzy, ale i przez obejmowanie na stałe probostw, ekspozytur, katechetur etc. Klasycznym przykładem takiej pracy jest konwent OO. Bernardynów w Zbarażu (10 Ojców), który obsługuje dużą parafję i pięć samoistnych ekspozytur i dostarcza dwóch samoistnych katechetów. Ale sądzę, że i tu możnaby lepiej wyzyskać siły niektórych zgromadzeń zakonnych lub klasztorów. W naszych warunkach należałoby dążyć do tego, by każdy kapłan-zakonnik, nie należący do bardzo nielicznych u nas zakonów czysto kontemplacyjnych, pracował intenzywnie w ten lub ów sposób w duszpasterstwie. Zwłaszcza na pewne „stracone placówki“, na małe, dalekie od innych probostwa czy ekspozytury, możnaby przeznaczać zakonników. Świecki kapłan nie może znaleźć na takich stanowiskach należytego utrzymania, a długoletni pobyt na odludnych posterunkach wywiera nieraz bardzo ujemny wpływ na jego charakter. Zakonnik miałby zapewnioną pomoc z macierzystego klasztoru i nadzieję, że po niejakim czasie powróci do konwentu lub na inne znośniejsze miejsce. Także przy zakładaniu nowych domów zakonnych należałoby brać pod uwagę zadania duszpasterskie zakonników. Jeżeli nasze kresy wschodnie, zwłaszcza wschodnia Małopolska, nie zruszczały doszczętnie, to w znacznej mierze zasługa ofiarnej pracy misyjnej zakonów, zwłaszcza Dominikanów i Franciszkanów; także i dziś przedstawiają kresy wschodnie państwa naszego przeobfite pole do pracy duszpasterskiej zakonów. Zakony mogą przy swej sprężystszej organizacji zdziałać tu nieraz znacznie więcej, niż działający raczej w pojedynkę duchowni świeccy. Prawda, że obejmowanie probostw lub stałych obowiązków w szkołach nie jest właściwym celem zakonów, ale musimy sobie uprzytomnić, że konstytucje zakonów są — sit venia verbo, — elastyczne i potrafią się dostosowywać do potrzeb czasu, i dla dobra dusz, tej suprema lex całego Kościoła, pozwalają lub nawet nakazują swym członkom imać się przeróżnych prac apostolskich. Jeżeli nawet zakony ściśle kontemplacyjne np. Trapiści poświęcają się pracy misyjnej, jeżeli stare zakony Bazylianów, Benedyktynów, Cystersów mają parafje, szkoły, zakłady wychowawcze, to mogą to czynić i inne zgromadzenia zakonne. Praca duszpasterska, zwłaszcza poza konwentem czy domem zakonnym, może mieć pewne ujemne strony dla wewnętrznego życia zakonnika, ale podjęta w imię Chrystusa, dla zbawienia dusz ludzkich, z posłuszeństwa i pod kontrolą przełożonych nie będzie pozbawiona wielkiej zasługi i będzie pewnie mniej niebezpieczna, niż brak obowiązkowego zajęcia, który prowadzi łatwo do lenistwa, tego straszliwego wroga zakonnego życia. Nowy kodeks pozwala biskupom nawet zakonnikom wyjętym z pod swej władzy (exempti) nakazywać (requirere) katechizowanie (can. 1334). Czy natomiast pomoc sekularyzowanych zakonników, oczywiście exceptis excipiendis, jest zbawienna dla diecezji, pozwalam sobie wątpić. Do pewnego stopnia mogą pomagać duchowieństwu zwłaszcza w katechizowaniu zakonnice, a nawet świeccy katechiści lub katechistki.

Wszystkie wspomniane środki zaradcze są jednak tylko półśrodkami: mogą one usunąć najbardziej rażące skutki małej liczby kleru, ale nie usuną złego radykalnie. Jedynym środkiem zaradczym na serjo i to nietylko na chwilę, ale i na dalszą przyszłość, to wyszukiwanie i wychowanie, wyrobienie powołań kapłańskich. Nowe prawo poleca (can. 1353) kapłanom, by wyszukiwali młodzieńców, dających pewne oznaki (indicia) powołania, by im pomagali w naukach, dbali o ich moralne wychowanie i nie dali zmarnować się powołaniu do stanu duchownego. Nie idzie tu oczywiście o naganianie do seminarjów chłopców, którzy pragną się tam tylko „podchować“ i rozpatrzeć za jakiemś zajęciem innem, lub takich, którzy idą do seminarjum, bo „fodere non valent et mendicare erubescunt“, ale o umiejętne wyszukanie i wypielęgnowanie prawdziwych powołań. „Seminaria puerorum“, jeden z najważniejszych postulatów Soboru Trydenckiego i nowego kodeksu (c. 1354 §. 2 c. 1364) nie spełniają czasem dlatego swego głównego zadania, t. z. dostarczania do seminarjum duchownego licznych i dobrze przygotowanych kandydatów, że są nieraz zakładami czysto wychowawczymi i to czasem o charakterze zwykłych burs lub internatów, a nie mają swych osobnych gimnazjów, w których uczyliby wyłącznie lub przeważnie duchowni. Gdy byłem słuchaczem teologji w Insbruku, (lata 1892—96) było w części niemieckiej Tyrolu tylko jedno gimnazjum (w Insbruku), obsadzone siłami świeckiemi, we wszystkich innych uczyli księża świeccy (biskupie gimn. w Brixen) lub zakonni (kanonicy regularni w Brixen, Benedyktyni w Meranie, Cystersi w Mehkrerau, Franciszkanie w Bozen i Stall, Jezuici w Feldkirch). To

też Tyrol miał nadmiar kandydatów do seminarjów duchownych i nowicjatów. U nas zrozumiały tę potrzebę niektóre zakony; kształcą one chłopców, przynajmniej w wyższem gimnazjum u siebie i w znacznej mierze dla siebie.

Prawda, że utworzenie gimnazjum biskupiego nie jest rzeczą łatwą: prócz ogromnych kosztów, trzeba przez parę lat kształcić po kilku kapłanów specjalnie w naukach świeckich, by mogli później zdać przepisane egzamina i uczyć w gimnazjum świeckich przedmiotów. Ale na utrzymanie seminarjów i zakładów naukowych muszą się znaleźć fundusze: nowe prawo o wskazuje do tego różne drogi (can. 1355—1356): dobrowolne składki kleru i ludu, podatek nałożony na duchowieństwo, inkorporowanie beneficjów „simplicia"; możnaby do tego dodać: opłaty alumnów (Sob. Tryd. Ses. XIII de ref. c. 18) i subsydja państwowe. To, że poświęci się kilku czy kilkunastu kapłanów specjalnie na obsługę biskupiego gimnazjum i seminarjum, to wkład, który opłaci się hojnie przez to, że te zakłady dostarczą niewątpliwie wielu i to należycie przygotowanych alumnów do seminarjum duchownego. Na razie możnaby tworzyć takie zakłady dla kilku diecezji wspólnie, możnaby też polecać niektóre wykłady dobrym i religijnym świeckim siłom nauczycielskim, zanimby się podchowało własnych profesorów. Bez tworzenia takich gimnazjów i seminarjów mogą się nasze seminarja duchowne znaleźć wielkiego braku odpowiednich kandydatów, a wówczas brak kapłanów może stać się złem chronicznem i to coraz groźniejszem, złem, które może w znacznej mierze sparaliżować dodatnią działalność Kościoła w naszej ojczyźnie.

X. Dr. Adam Gerstmann.

Kościół i „rozwody kościelne".

Coraz częściej słyszy się głosy, że Kościół katolicki teraz znacznie złagodził „zbyt surowe", jak mówią, prawa o nierozerwalności małżeństwa i różne inne słyszy się zarzuty i nowe poglądy, często streszczające się w tem, że nareszcie tam w Rzymie „zaczynają coś rozumieć". Stan tej sprawy w obecnem prawodawstwie kościelnem oświetla bardzo dobrze i wyjaśnia wszelkie zarzuty mowa Mgra J. Prior'a dziekana audytorów Roty, wypowiedziana wobec Ojca św. Piusa XI na otwarcie roków prawnych 16, X. z. r. Podaję niektóre wyjątki, odnoszące się do tego przedmiotu. (V. Docum. Cath. Paris. 18. XI. 922. Nr. 173.)

„Ze szczytu Świętego Trybunału Rzymskiego, dokąd ze wszystkich stron świata przychodzą apelacje prawnicze, najdogodniej, wprost jednym rzutem oka można jakby z wszechświatowego obserwatorjum widzieć rozwój prawa i sprawiedliwości kościelnej. Lepiej też można z tego miejsca ocenić dobroczynną działalność, jaką i na tem polu rozwinęła wśród społeczeństwa troskliwa, macierzyńska gorliwość Kościoła

W zakresie idej prawniczych już zeszłego roku miałem zaszczyt zwrócić uwagę Św. Stolicy na znamienną przewagę wyroków Roty w sprawach małżeńskich i wyjaśnić racje tego zjawiska i wysnuć refleksje stąd wypływające, zwłaszcza w stosunku do tej zarazy rozwodów, która szaleje w okolicach, skąd najczęściej przychodzą rekursy.

To, że takie sprawy są bardzo częste, dało powód do pewnych nie usprawiedliwionych zresztą zarzutów przeciw trybunałom kościelnym:

1-o. Mówią, że Rota stwarza, wobec tego, że koszta procesów małżeńskich są zbyt wielkie, coś w rodzaju acceptio personarum dla klas bogatych, które jedynie są w stanie, twierdzi się, pokryć tak olbrzymie koszta.

2-o. Mówi się także, że urzędy Roty zbyt często kryją się po za deklaracje nieważności małżeństwa i w ten sposób dążą do złagodzenia świętego rygoru, z jakim Kościół dotąd zawsze głosił nierozerwalność.

3-o Według innych Rota dąży w interpretacji prawa do tworzenia i wynajdowania nowych wypadków nieważności małżeństwa.

4-o. Inni mają żal niejako, że w odniesieniu do starego prawodawstwa Rota teraz okazuje się zbyt łatwą w przypuszczaniu racyj, przedkładanych na dowód nieważności, zwłaszcza co do motywu vis et metus.

Z tego wszystkiego zwolennicy rozwodów wnioskują, że taki sposób postępowania Roty świadczy, jakoby Kościół przyznawał się, iż jest zmuszony w ten sposób otworzyć niejako klapę bezpieczeństwa co do zasady nierozerwalności i że wobec tego praktycznie uznaje właściwie konieczność rozwodów."

Zarzuty te zbija Mgr. Prior na podstawie dokumentów i statystyki. Co do zbyt wysokich kosztów, zaznacza, że bardzo często koszta te były darowane zupełnie, jeśli ubóstwo było stwierdzone, albo zmniejszane do jakiejś małej kwoty, która często zaledwie pokrywała część małą wydatków, poniesionych przez Stolicę świętą. W ostatnich 6 latach na 117 spraw małżeńskich tylko w 69 wypadkach Rota otrzymała zwrot wszystkich kosztów, 39 spraw załatwiono bezpłatnie, w 9 wypadkach otrzymano zwrot nieznacznej części kosztów.

Co do acceptio personarum: na owych 69 wypadków sfery bogate przegrały 23 sprawy a wygrały 46, gdy na 39 darmo załatwionych petenci wygrali 32 sprawy, a tylko 7 było przegranych. Na 9 spraw za zniżoną bardzo opłatą tylko raz wydano rozstrzygnięcie nieprzychylne dla petenta.

Co do zbyt licznych deklaracyj nieważności małżeństw, nie trzeba się dziwić, że liczba ich (w ostatnich 6 latach 80, nie licząc 6 spraw załatwionych dyspenzą super rato) przekracza liczbę wyroków o ważności węzła. Rota jest władzą apelacyjną. Defensor vinculi z prawa obowiązany jest, w razie potrzeby, zawsze apelować, gdy petent, przegrawszy w pierwszej instancji, często nie idzie dalej. Stąd Rota częściej ma sposobność stwierdzać nieważność niż ważność węzła.

Z tych 80 wypadków uznania nieważności węzła wypada właściwie tylko 11 wypadków na rok (6 lat), w których Rota orzekała, gdyż dla wielu spraw definitywna deklaracja nieważności wymagała dwóch zgodnych orzeczeń Roty. By lepiej ocenić bezpodstawność zarzutów, z tej racji podnoszonych przeciw Kościołowi, wystarczy porównać cyfry rozwodów świeckich przedwojenne, nie mówiąc już o powojennych. (We Francji w r. 1913 — 16.335, w Niemczech 17.835, w Stanach Zjednoczonych Ameryki 112.036 w r. 1916.)

Co do stwarzania nowych wypadków nieważności Mgr. Prior odwołuje się do aktów, które świadczą, że tylko dawne, uznane przez tradycyjne prawodawstwo przyczyny były podstawą orzeczeń. Tę samą wierność tradycji zachowała Rota i w stosowaniu motywu vis et metus. W tym wypadku Rota dążyła zawsze do tego, by bronić wolności, do której mają prawo ci, którzy mają zawrzeć nierozerwalny na całe życie związek. Wszystkie dokumenta, zdaniem Mgr. Priora, wykazują dowodnie, że nić wierności tradycji nie została zerwana, owszem może nawet silniej co do ducha tradycji nawiązana.

X. M. Rękas.

Wrażenia z podróży do Włoch.

(C. d.)

Do rodziny swej Włoch jest bardzo przywiązany i gotów dla niej na wszelkie ofiary. Mimo wszystko, co się o nich slyszy, wyżej, niż wiele innych narodów, stoją Włosi pod względem moralności, a dowodem na to choćby ta wielka liczba dzieci, które się wszędzie u nich spotyka. A przemiłe są te włoskie dzieciaki, zwłaszcza ministranci, ruchliwi jak żywe srebro: kiedy im dać lirę za służenie do Mszy św., to złożą ręce, jak do modlitwy i tak serdecznie proszą: „Venga ancora domani, Signore!“ (Niech Ksiądz jeszcze jutro przyjdzie!) Jest to też naród zdolny, jak mało który na świecie: wszak to ojczyzna Grzegorza Wielkiego, Tomasza z Akwinu, Dantego, Rafaela, Michała Anioła i tylu innych wielkich uczonych i artystów. Ale nad wszystkimi ich przymiotami góruje wiara niezłomna. Lud włoski w wielkiej swej masie jest bardzo głęboko wierzący. Dziwnie ta wiara się nieraz objawla: dziwne dla nas są „włoskie nabożeństwa“, a sposób, w jaki zasyłają swe prośby do Boga, do Madonny i do świętych Pańskich, bardzo nam się wydaje osobliwym. Warto naprzykład obserwować Włoszkę, która przychodzi przed obraz cudowny, żeby sobie uprosić jaką łaskę. Nic w niej niema tego konwencjonalizmu, czułostkowości, zawracania oczyma i pozy, które tak często u nas i gdzieindziej się spotyka. Ona tu przyszła jedynie w tym celu, żeby socie np. uprosić u Madonny zdrowie dla swego dziecka, to jest jedyna rzecz, jaka ją w tej chwili zajmuje i jest absolutnie przekonana, że jej Madonna może to dobrodziejstwo wyjednać, musi tylko usilnie o nie prosić. Więc się cała jakby w natarczywą prośbę przemienia: znać na niej to jakby „mocowanie się z Bogiem“, o którem mówi Pismo św. W prostych, nie wyszukanych słowach przedstawia swą potrzebę: „Madonna! Tyś także miała Syna, który cierpiał okrutnie, więc wiesz, co się wtedy dzieje w sercu matki: wysłuchaj mię przeto i uzdrów mi moje dziecię!“ Potem chwilę trwa przed obrazem w milczącej modlitwie i wraca do domu, aby się przekonać, czy została wysłuchana. Jeśli tak, z pośpiechem pędzi do Madonny i głośno swą wdzięczność wyraża; a jeśli się nic nie zmieniło, to sobie poprostu tłumaczy, że jeszcze za mało prosiła, więc wraca w wolnym czasie do kościoła, nieraz nawet bierze swe sąsiadki do pomocy i najczęściej prędzej, czy później swój cel osiąga, bo wierzy, nic nie wątpiąc.

Że nietylko jednostki, ale i całe masy ludu włoskiego w ten sposób modlić się potrafią, tego najlepszym dowodem i illustracją jest znany cud św. Januarego. Mieszkańcy Neapolu są absolutnie pewni, że ten cud w oznaczonym dniu się powtórzy, więc długo już przedtem czynią przygotowania do tej uroczystości. W dzień świętego Patrona zbierają sie w kościele i na pobliskich ulicach nieprzejrzane tłumy. O godz. 9-tej zaczyna się nabożeństwo. Po „Credo“ odmawiają litanje i różne modlitwy; im dłużej trzeba czekać na rozpuszczenie się krwi, tem te modlitwy stają się natarczywsze, potem jakby groźny przybierają ton, tu i ówdzie słychać wołanie: „Facia gialluda“! (Żółta twarzy, zrób cud!). I św. January robi cud: zwolna krew skrzepła zaczyna się rozpuszczać i przemienia się w płyn. Tego roku, 19 września, 41 minut czekano na to tajemnicze zjawisko. Wybuchają jak burza okrzyki wesela, radosne „Te Deum“ śpiewają zgromadzone rzesze, a równocześnie 21 strzałów armatnich, przeraźliwy gwizd syren na wszystkich statkach i ogniste rakiety oznajmują miastu i okolicy, że św. January nie zawiódł oczekiwania.

Te różne dosyć często powtarzające się cuda sprawiają, że Włosi nie bardzo im się dziwują, o wiele mniej niż my naprzykład. Klasyczną do tego ilustracją jest epizod z życia niezapomnianego papieża Piusa X. Doniesiono mu raz, że po jego błogosławieństwie chłopiec niemy od urodzenia odzyskał mowę; papież całkiem tem się nie zdziwił: „Dlaczegoby nie — powiedział — oni mają wiarę, ja jestem papież, więc wszystko w porządku“.

Tak wierzą i tak się modlą Włosi, tak też często umieją żyć. Nierzadkie są między nimi charaktery jakby ze spiżu odlane, w których wszystko ze sobą harmonizuje i na jednolitą, dobrą lub złą składa się całość. Dlatego też Włosi tak są podatnym materjałem na świętych i ciągle świętych wydają, zwłaszcza także z pośród ludzi wśród świata żyjących. Nie pomarli jeszcze świadkowie cnót Contarda Ferriniego i Gemmy Galgani, a już nowa gwiazda ukazała się na tym horyzoncie: tym razem pokorny kapucyn „Padre Pio“, żyjący w Abruzzach, do którego zewsząd ludzie się zbiegają, bo stygmaty Pana naszego Jezusa Chrystusa na ciele swem nosi i w duszach ludzkich czyta.

Niepoślednią rolę w tem tworzeniu świętych odgrywa zresztą cała ta atmosfera, w jakiej się tam żyje. Rzym zwłaszcza dziwnie do modlitwy nastraja: jego katakomby, kolosseum, kościoły, relikwje, muzeum dusz czyśćcowych potężnie przemawiają do duszy i każą jej myśleć o zaświatach i o tej nadprzyrodzoności, której tu jakby palcami dotknąć się można. Ileżto przykładów możnaby przytoczyć, że ludzie religijnie całkiem nieczuli, tu się zupełnie odmienili, a przedewszystkiem nauczyli się modlić. Iluż członków innych wyznań tu otrzymało światło prawdziwej wiary! Znaną z tego była przed wojną ambasada rosyjska ze swymi urzędnikami.

Przywiązanie do Stolicy świętej to dalsza wybitna cecha włoskiego ludu. Mimo wszystkie triumfy Zjednoczonej Italji lud dawnego państwa kościelnego, rzymski zwłaszcza, nie zapomniał dotąd o czasach, w których jego królem był papież. Nie brak starań, żeby temu zapobiedz, zohydza się papieskie rządy i opowiada o ich tyrań每stwie, ale to nie wiele pomaga. Lud po cichu sobie śpiewa (sam to słyszałem):

Quando regnava il „re-cane“
Era tre soldi un pane....

(Kiedy panował „król-pies“, trzy soldy kosztował chleb).

Spotęgowała te uczucia jeszcze wojna, bo dziś mały bocheneczek chleba kosztuje jedną lirę. Także i wśród inteligencji, a zwłaszcza wśród arystokracji, nie brak zwolenników papieskich rządów. Nieraz przy różnych uroczystościach nie tylko w Watykanie ale i w mieście, jak burza wznosi się okrzyk „Eviva il papa rè!“ Tak było np. w czasie owego starcia młodzieży katolickiej z faszystami, o którem wyżej wspomniałem.

To też lud rzymski nawet nie przypuszcza, żeby kiedykolwiek nie Włoch mógł zostać obrany papieżem. Pamiętam, jakie poruszenie było w Rzymie, kiedy w czasie konklawe po śmierci Piusa X rozeszła się pogłoska, że papieżem zostanie kard. Mercier: gdyby było doszło do tego, to napewno przyszłoby tam do rozruchów o wiele poważniejszych, niż u nas po wyborze śp. Narutowicza.

(Dok. nast.) *X. Stanisław Szurek.*

Jak urządzać misje i rekolekcje ludowe?

Że misje i rekolekcje są bardzo potrzebne szczególnie teraz, w okresie powojennym, to chyba nie ulega wątpliwości. Ale rzecz to niełatwa i sprawiająca ogromne kłopoty proboszczom, dlatego też niejeden tylko z trudnością i obawą decyduje się na urządzenie misji w swojej parafji. Bardzo więc dobrze uczynił X. Adolf Albin, prob. w Chełmie (koło Bochni), podając wskazówki, dotyczące tej ważnej sprawy, w osobnej, dość obszernej i dobrze napisanej broszurze p. n. „Misje i rekolekcje ludowe, kto i jak je ma dawać“ (Kraków 1922. Stron 72. Do nabycia

u autora). Broszura przeznaczona jest dla księży świeckich, bo zakonnicy-misjonarze mają, — a przynajmniej wielka ich część ma już dużo doświadczenia i wprawy na tem polu pracy kapłańskiej. Trzeba zaś koniecznie, żeby tej pracy jął się także liczniejszy zastęp księży świeckich, bo zakonników jest za mało, żeby mogli w krótkim czasie na wszystkich ziemiach polskich przeorać misjami choćby tylko przeważną część parafji.

Autor korzysta tu dużo (jak sam pisze) z najnowszych cennych dzieł niemieckich, a mianowicie z M. Kassiepe'go O. M. I. „Homiletisches Handbuch für Missionen"[1]) etc. i H. Bockel'a „Klerus und Volksmissionen".[2]) ale i z własnej praktyki. Na wstępie przypomina błogosławione owoce, które wydają wszędzie misje i rekolekcje i cytuje kan. 1349, § 1 nowego kodeksu, który przepisuje: „Ordinarii advigilent ut, saltem decimo quoque anno, sacram, quam vocant, missionem, ad gregem sibi commissum habendam parochi curent." Dalej zastanawia się nad przymiotami, które są nieodzownie potrzebne księdzu, aby mógł pracować jako misjonarz? Oto potrzeba mu na to — obok żywej wiary, gruntownej cnoty, pokory, miłości wielkiej i pobożności — zdrowia, sił dostatecznych, uzdolnienia, dobrej wymowy i biegłości w sztuce kaznodziejskiej. Powinien on zapoznać się jak najdokładniej z prawidłami wymowy, akcentować należycie każde zdanie, które wypowiada, powinien znać gruntownie Pismo św., teologję i kazuistykę, życie i serce ludzkie.

Słusznie też przestrzega autor misjonarzy, zwłaszcza początkujących, żeby „nie patrzyli się zanadto czarno na ludzi", żeby nie ugólniali zdarzających się tu i ówdzie wykroczeń i zgorszeń, lecz pamiętali o tem, że w każdej parafji są i dobrzy ludzie i że i najgorsi mają swoje dobre strony (str. 16). Jest to rzeczywiście jedną z największych wad u kaznodziei, kiedy tak gromi występki, jak gdyby nie przypuszczał istnienia żadnego przymiotu, zasługującego na jakąś pochwałę, u swoich słuchaczy. Nadto nie powinien misjonarz dogadzać sobie zbytecznie w jedzeniu i piciu, bo wtedy trzeba się obawiać, że Bóg odmówi mu swego błogosławieństwa (str. 20).

W rozdz. IV zwraca autor uwagę na różnicę, istniejącą między misjami a rekolekcjami. Nauki wszystkie muszą być starannie obmyślane według pewnego programu, a mianowicie według wypróbowanej i przez Kościół zatwierdzonej metody św. Ignacego (26). Dalej zapytuje: „Co lepsze dla ludu: misje czy rekolekcje?" i przyznaje pierwszeństwo misjom, ale zaleca słusznie i rekolekcje dla różnych stanów jako doskonałe przygotowanie do misji, jeżeli te gdzieś jeszcze nie mogą się odbyć z jakichkolwiek powodów. Żeby zaś przygotować dobrze parafjan do misji, należy przynajmniej przez 2 lub 3 miesiące przed ich rozpoczęciem głosić kazania o istnieniu Boga, o nieśmiertelności duszy, o Bóstwie Chrystusa Pana, o łasce Bożej, o życiu z wiary, o wartości Słowa Bożego, o warunkach sakramentu Pokuty, o spowiedzi itd. Na 4 tygodnie przed misją należy ją zapowiedzieć z ambony, przedstawiając jej nieocenioną wartość i doniosłość, a w miastach ogłosić o niej w gazecie, czytywanej w parafji, a nadto rozesłać do każdego domu kartki drukowane o znaczeniu misji i o jej programie, wraz z uprzejmem zaproszeniem do wzięcia w niej udziału. W parafjach wiejskich najstosowniejszym jest dla misji czas od jesieni, gdy skończą się roboty polne, do W. Nocy; — dla urzędników i innych, którzy są przez cały dzień zajęci, muszą być głoszone nauki osobne w godzinach wieczornych. W parafjach wiejskich, średnich powinna misja trwać 8 dni, w większych a zwłaszcza miejskich, 10—14 dni; jeżeli misja trwa krócej, nie mogą się wszyscy słuchacze wyspowiadać (str. 35); trzeba też zaprosić na każdy dzień dostateczną ilość spowiedników (rozumie się dobrych). Radzi też autor dać parafjanom kartki do spowiedzi, drukowane, z tekstami Pisma św., wyglądające estetycznie i zaopatrzone liczbą porządkową celem odpowiedniego podziału penitentów, żeby nie cisnęli się do konfesjonału i nie potrzebowali przy nim stać zbyt długo.

Niejeden proboszcz ociąga się z urządzeniem misji ze względu na ogromne połączone z nią koszta; ale ta obawa nie powinna nikogo powstrzymywać od spełnienia obowiązku; — zresztą można mieć nadzieję uzasadnioną, że lud nie pożałuje ofiar w naturze i w pieniądzach na pokrycie tych kosztów, jeśli misja się uda (str. 38).

Bardzo dobry jest program nauk misyjnych, podany przez autora, jakoteż rady, odnoszące się do ich tematów i opracowania. Tu jednak należało wymienić przed innymi autorami kazań misyjnych, których poleca autor na str. 42, kilku innych najwybitniejszych, a zwłaszcza św. Leonarda a P. M., którego kazanie np. o Sądzie ostatecznym wstrząsające czyni wrażenie; — trzeba je tylko skrócić i dobrze wygłosić. Dużo też może skorzystać młody kaznodzieja z przestudjowania kilku dobrych dzieł, poświęconych homiletyce, że tylko przytoczymy Jungmann'a „Theorie der geistlichen Beredsamkeit" (Freiburg i. Br. Herder) i Schleininger'a „Das kirchliche Predigtamt".

Taka jest treść cennej rozprawy X. Albina. Można jej wprawdzie wytknąć tu i ówdzie pewną rozwlekłość i powtarzanie rzeczy znanych ogółowi duchowieństwa, — ale nie wątpimy, że ona zachęci niejednego z czytelników do pracy misjonarskiej i dużo przyniesie pożytku.

X. A. P.

[1]) Paderborn. Schöningh.
[2]) Freiburg i. Br. Herder.

Ernest Psichari.

Są dusze ludzkie, które Bóg nagle swoją łaską napełnia. Są inne, w których działanie łaski jest powolne. Ostateczną decyzję poprzedza długa i różnorodna praca przygotowawcza. Pod działaniem łaski, wśród różnych okoliczności dojrzewa taka dusza, aż kiedyś przyjdzie chwila, że Boski Ogrodnik nachyli się i., przeniesie ją do siebie. Inne znowu zadziwiają rozkwitem nagłym, szybkim a wspaniałym, ale też prędko piękno ich zwraca ku sobie miłość Bożego Ogrodnika, który znać uważa, że lepsze dla nich miejsce w niebie i jakby z obawy o ich wspaniałość nachyla się coprędzej i... zawczasu zabiera. Do takich dusz należał Ernest Psichari, o którym już bardzo wiele pisano w literaturze obcej. Uważano go jako duszę, która powoli wzrastała w łasce. Ostatnia jednak monografja (A. M. Goichon, Ernest Psichari) wykazuje na podstawie dokumentów, że zanim łaska wytrysnęła na zewnątrz, zanim duch ten wielki zaczął rozsypywać w dziełach swych i czynach istne kaskady piękna, tam wewnątrz odbywały się powoli dziwne przemiany. Tak jak w ziarnku, które pewnego dnia kiełkuje ponad ziemią i wydaje kłos potężny, tak jak w kwiecie, który jakiegoś poranku nagle zadziwia wszystkich pięknością barw otwartego kielicha, tak jak strumień wody żywej, który długo wędrował pod ziemią, aż gdzieś trysnął źródłem ożywczem na napojenie ust spragnionych i ożywienie powiędłych kwiatów...

W Erneście Psichari'm była krew bretońska zmieszana z grecką i łatyńską. Trzy też prądy rozrywały za młodu duszę jego: katolicyzm, protestantyzm, mistycyzm. Skłonny raczej do samotności i studjum poważnego, najbardziej lubiał Bossuet'a i Pascal'a. Odczuwał bardzo dotkliwie brak porządku w swojej duszy. Nie mógł żyć spokojnie wśród różnych prądów i wpływów, jakim czy z urodzenia, czy pod wpływem okoliczności była poddana jego entuzjastyczna, skłonna do fantazji organizacja duchowa. Szukał porządku. Pierwszy etap na tej drodze stanowiło wstąpienie do służby wojskowej. Dyscyplina wojskowa podobała mu się. Przeżył wiele trudów życia wojskowego w garnizonach we Francji, w Kongo i na pustyni Sahary. Trudy te zahar-

towały ciało, ale i na ducha zbawienny wywarły wpływ. Od porządku wojskowego, od dyscypliny wojskowej przeszedł Psichari do porządku moralnego, do dyscypliny duchowo-moralnej. Potrzeba zaparcia się, poddania woli swojej — woli innej, umartwienia przeróżne z konieczności, ciągła styczność ze śmiercią i niebezpieczeństwami musiały swoje zrobić. Jako 26 letni oficer w Maurytanji przechodzi wiele ciężkich chwil i wtedy znajduje porządek religijny. Pracował, cierpiał wtedy dla idei patrjotyzmu Wie już tedy, że można dla idei cierpieć, umrzeć. Szuka tej idei w Islamie. Ze zgrozą jednak musiał cofnąć się jego szlachetny entuzjazm przed maksymą maurytańską: „Atrament mędrców jest cenniejszy niż krew męczenników". Nie będąc jeszcze katolikiem, rozumiał już ideę ofiary. „Wtedy po raz pierwszy pojąłem, jak Chrystus czynił mnie mimo mej woli, bez mej wiedzy, swoim więźniem". Psichari nie zrywa więzów. Szuka, bada, rozmyśla, modli się wreszcie. Pewnego dnia, na otwartej pustyni, kiedy potoki gorąca upalnego słało na ziemię słońce w samo południe, gdy rozłożystego drzewa cień zdawał się zapraszać raczej do odpoczynku, Psichari pada na kolana. „Było to pierwszy raz w życiu. Ruch ten jednak, tak nowy dla mnie, był mi nakazany z bardzo daleka i wszelki opór był niemożliwy". Jego „Voyage du Centurion" opisuje tę drogę od porządku wojskowego do dyscypliny moralnej i wreszcie do porządku katolickiego, do wiary prawdziwej. Staje się katolikiem żywym, czerpiącym obficie i często życie prawdziwe przez Sakramenta. Ogarnia go rychło duch apostolstwa dla innych i ofiary za innych. Za Francję chce cierpieć, grzechy Francji, tej nie wierzącej jeszcze, chce swą krwią okupić. Dlatego z chwilą wybuchu wojny znajduje się dobrowolnie i natychmiast w szeregach. Ginie 24. VIII. 1914 na polu walki za Ojczyznę i wiarę w Ojczyźnie swej.

Psichari jednak nie cały zginął. „Non omnis moriar"... Szeregi młodzieży francuskiej żyją jego duchem, idą jego śladami. Niedawno wydana książka (jedna z wielu zresztą, tylko lepsza przez A. M. Goichon p. t. Ernest Psichari, d'après des documents inédits, (Revue de Jeunes, Paris), jeszcze bardziej utwierdza tę ścisłą łączność między Psicharim a jego współtowarzyszami. On stał się jedym z ich wodzów.

X. M. Rękas.

Listy z Belgji.

Pierwsze wrażenia.

Dzień był jasny, słoneczny, gdy przekraczałem granice Belgji; październikowe słońce uśmiechało się zlekka do zielonych pagórków, poprzedzielanych drutami, do ugorów świeżo zoranych, do lasków starannie utrzymanych. Widać, że tu ręka ludzka umiała wyzyskać każdą piędź ziemi bądź to pod pług, bądź na pastwisko czy łąkę. Nie dziwię się temu, gdy pomyślę, że Belgja jest najgęściej zaludnionym krajem w Europie. Belg stara się wydobyć jak najwięcej z swej ziemi, aby przynajmniej w części zaspokoić potrzeby kraju.

Po nudnych nizinach niemieckich wjechałem nareszcie w kraj górzysty; nie są to wprawdzie wielkie góry, ale w każdym razie urozmaicają widoki podróżne. Od czasu do czasu pociąg wpadł w ciemną otchłań tunelu, niekiedy na kilka minut, przed ciekawemi oczyma przesuwały się jak w kalejdoskopie wsie, miasteczka i miasta, bo pociąg zatrzymywał się tylko na wielkich stacjach.

Jakaż wielka różnica między wsią zachodnią a naszą. Tu nie zobaczysz nigdzie lepianki ani słomianej strzechy, domy są piątrowe, z czerwonej cegły, pod jednym dachem kryje się i stodoła i stajnie i mieszkanie wieśniaka, a wszystko razem tworzy duży dom piątrowy tak, że cudzoziemiec nie ma w pierwszej chwili wrażenia, że to wieś. Mieszkanie belgijskiego wieśniaka musi być obszerne i wygodne, o ile można wywnioskować z zewnętrznego wyglądu, — a przedewszystkiem czyste, a więc odpowiadające godności człowieka. Po naszych skromnych chatkach wiejskich i zażydzonych miasteczkach wieś belgijska przedstawia się imponująco.

Kraj jest tak gęsto zaludniony, że co chwila mija się jakąś stację, miasto łączy się z wsią, wieś zaś z drugiem miastem i tak można przejść całą Belgję, nie tracąc z oczu widoku domów.

Jadąc, szukałem śladów wojny, teraz już one znikły w znacznej części, ale można je jeszcze oglądać w Liège, gdzie tak zacięte toczyły się boje. Najlepiej widzi się je w Louvain (Lowanium), które doczekało się losu takiego jak nasz Kalisz, conajmniej trzecia część domów została zupełnie zniszczona i spalona, ludność przez 3 dni tułała się po okolicznych miejscowościach, zostawiając swe mienie na pastwę wroga. Dziś już odbudowano prawie wszystko (przeszło 2000 domów), powstały tu całe ulice nowych domów.

U nas taka rzecz nie byłaby do pomyślenia. Rzuciwszy tych kilka wstępnych uwag dla odźwierciedlenia swych pierwszych wrażeń, pragnąłbym stosunki belgijskie naszkicować możliwie krótko, ale w sposób więcej systematyczny. Zacznę od ogólnej charakterystyki kraju.

Belgja i jej ludność.

Wiadomą jest rzeczą, że Belgja jest najgęściej zaludnionym krajem w Europie, na tak małym obszarze mieści około siedm i pół miljona ludności. Dzieli się na 9 prowincji, wśród nazw prowincji spotykamy starą, dobrze znaną w historji Brabancję. Belgja jest dziś krajem przemysłowym; — dzięki bogatym pokładom węgla kamiennego mógł się rozwinąć przemysł. Rolnictwo — choć nie jest głównym warsztatem pracy narodu belgijskiego — stoi tu bardzo wysoko, kwestja agrarna dawno tu rozstrzygnięta, niema prawie wielkich posiadłości (niektóre zachowały się jeszcze w częściach przyległych do granicy francuskiej), ale niema też ćwierćmorgowyah działek. Średnie gospodarstwa mają od 20 do 50 hektarów ziemi. Ziemia przeważnie gliniasta, tylko prowincje flandryjskie posiadają czarnoziem, dość urodzajny, bo udaje się tam nawet tytoń. Co prawda tytoń ten nie nadzwyczajny, ale w każdym razie miejscowa produkcja zaspokaja w znacznej części potrzeby kraju. Belg jest przemyślny, nie sieje wiele zboża, bo to nie przynosi mu wiele zysku, lecz uprawia dużo roślin okopowych, a więc ziemniaków, buraków, kapusty brukselskiej, marchwi, cebuli i t. d. Na gospodarstwie 40 hektarowem sieją niektórzy tylko $^{3}/_{4}$ hektara zboża twardego, a więc tylko tyle, ile potrzeba dla własnego użytku, około 10 hektarów zostaje na pastwisko a reszta pod rośliny okopowe.

Każdy gospodarz używa narzędzi rolniczych najnowszych systemów i nawozów sztucznych; dzięki dobrej uprawie pole wygląda jak grządka w ogrodzie, naturalnie i plony są proporcjonalne do włożonej pracy. Do pracy w polu używa się tu potężnych koni rasy meklemburskiej, jako środek przewozowy służy ogromny i ciężki dwukołowiec, dwa nasze chłopskie koniki musiałyby się dobrze natężyć, aby uciągnąć taki próżny wózek. Rzecz jasna, że podobny środek lokomocji jest możliwy tylko w kraju, gdzie wszystkie drogi i dróżki są wyłożone kamieniami.

Klimat jest nadmorski, a więc dużo deszczu i mgły; pewien uczony belgijski obliczył, że w Belgji wypada przeciętnie 4 dni deszczu w tygodniu. A w jesieni i w zimie niema jednego prawie dnia bez deszczu. Do najbardziej nieznośnych rzeczy należą mgły, które czasami są tak gęste, że w południe robi się prawie ciemno, a przytem tak przenikliwe, że więcej się ziębnie niż od mrozów.

Zima, która zaczyna się w styczniu, polega na kilku mrozach, dochodzących czasem do 8-u stopni, śnieg pada tylko co pewien czas i do kilku dni a często do kilku godzin ginie, — a zresztą deszcze i szkaradne mgły.

Lato chłodniejsze niż u nas, obfituje także w deszcze.

Szczęściem drogi są brukowane i utrzymane w dobrym stanie (jak wszędzie na zachodzie), deszcz więc nie utrudnia komunikacji.

Środki komunikacyjne wobec gęstej sieci kolejowej oraz tramwajowej, łączącej miasta z okolicą, są tak dogodne, że w Belgji prawie się nie używa wózków ani powozów luksusowych. Nawet w miastach takich jak Bruksela (750.000 mieszk.) dorożka jest rzadkością. Bogatsi jeżdżą samochodami a zwykli śmiertelnicy tramwajami lub najczęściej rowerami. Każdy prawie robotnik jedzie rowerem do pracy, student do szkoły, nawet małe dzieci jeżdżą na specjalnych, mniejszych kołach; wiek i płeć nie odgrywa tu żadnej roli, widzi się często i starszą damę jadącą w towarzystwie młodych córek. U nas możeby to niejednemu wydawało się dziwnem, ale tu już to weszło w zwyczaj.

Ludność Belgji jest niejednolitą; właściwie niema narodowości belgijskiej, jak nie było w Austrji austrjackiej, są tylko Wallonowie, zamieszkujący Belgję zachodnią i Flamandowie we wschodniej połaci kraju. Między jednymi a drugimi niema żadnych punktów stycznych, Wallonowie mówią po francusku i kulturą ciążą ku Francji, Flamandowie zaś należą do rasy i kultury germańskiej, język ich różni się nieznacznie tylko od holenderskiego, a więc należy do rodziny języków germańskich.

Środkowe prowincje mają ludność mieszaną, jednakowoż element flamandzki wdziera się coraz bardziej na zachód, zalewając coraz bardziej słabszą od siebie rasę wallońską. W przyszłości grozi zupełne zflamandyzowanie Belgji, jeśli weźmie się pod uwagę znamienny fakt, że rodziny flamandzkie często liczą 12—16 dzieci, a wallońskie w znacznej części trzymają się niestety praktyki francuskiej (zwanej po niemiecku „Zweikindersystem").

Między obu narodowościami są ciągłe tarcia, które w czasie okupacji niemieckiej znacznie się zwiększyły pod wpływem agitacji najezdców. Zdaje się, że Flamandowie zerkają ku Hollandji, a może chcieliby utworzyć odrębne własne państwo. W walce parlamentarnej zdobyli już to, że w prowincjach flamandzkich językiem urzędowym jest nie francuski, lecz ich własny. W ostatnich tygodniach toczyła się namiętna walka w parlamencie brukselskim o oddanie Flamandom uniwersytetu w Gand, ostatecznie sprawę załatwiono w ten sposób, że językami wykładowymi będą flamandzki i francuski, tylko w szkole górniczej pozostanie język francuski jako wykładowy.

Ten ruch narodowościowy czasem przebierał miarę, były chwile, że część kleru flamandzkiego ze względów narodowościowych zaczęła jawnie dążyć do schyzmy kościelnej; — na razie niebezpieczeństwo to przeminęło, ale wzajemna niechęć trwa dalej.

W charakterach obu narodowości od razu spostrzega się wielkie różnice: u Wallonów elegancja, większa uprzejmość, jednem słowem, duch francuski, charakter zaś Flamanda jest więcej surowy i rubaszny.

Król belgijski, Albert jest powszechnie lubiany, zwłaszcza od czasu wojny, gdy walczył na froncie jako zwyczajny podkomendny generał, królowa również jest uwielbiana dla swej dobroci — w czasie wojny była samarytanką w szpitalu wojskowym.

Szkolnictwo.

Sprawa szkolnictwa przedstawia się bardzo ciekawie. Są trojakiego rodzaju szkoły: państwowe, wolne czyli prywatne katolickie i prywatne liberalne. Nauka w szkole ludowej trwa 4 lata, potem przechodzi uczeń do szkół średnich państwowych lub liberalnych albo do t. zw. kollegiów (6 lat), prowadzonych w duchu katolickim. Kierownikami i w przeważnej części profesorami kollegiów są księża, którzy odbyli studja w uniwersytecie lowańskim. Szkoły katolickie i liberalne mają prawo publiczności.

W całej Belgji są 4 uniwersytety: dwa rządowe t. j. w Gand i Liège, katolicki zaś w Louvain i liberalno-masoński w Brukseli. O uniwersytecie lowańskim będzie później mowa obszerniej.

Fundusze swe czerpią szkoły i uniwersytety wolne z opłat uczniów i z publicznych składek, utrzymanie kollegjów spoczywa na barkach biskupów.

Okazuje się, że szkolnictwo wolne ma więcej zwolenników, bo nieliczne szkoły państwowe świecą pustkami; najliczniejszą frekwencją cieszą się szkoły katolickie, jaką zaś sławę zdobył sobie uniwersytet lowański, wie o tem cały świat. Dobra, po katolicku wychowująca szkoła wydaje piękne owoce, dzięki szkole i uniwersytetowi katolickiemu Belgja stała się dziś wzorem katolicyzmu. Trzeba wiedzieć, że katolicyzm inteligencji belgijskiej — o ile przyznaje się ona do niego — nie jest tylko etykietą, formą zewnętrzną, ale naprawdę regułą jej czynów i życia.

Stosunki kościelne.

Belgja jest krajem wybitnie katolickim; protestantów i innych wyznań jest bardzo mało. W całej Belgji jest 6 diecezji: w Malines, Bruges, Gand, Liège, Namur i Tournai, 200 parafij i 5790 księży parafjalnych.[1]) Diecezje są bardzo rozległe. n p. mechlińska liczy przeszło 2 miljony diecezjan i obejmuje najbardziej uprzemysłowione części kraju oraz stolicę Brukselę. Prymasem Belgji jest X. Kard. Mercier, arcybiskup mechliński z siedzibą w Mechlinie (po franc. Malines).

Każdy biskup w swej diecezji ma pod bezpośrednią opieką szkoły katolickie tak ludowe jak i gimnazja czyli t. zw. kollegja. Wobec tego, że księża zajmują w znacznej części stanowiska profesorów, kler belgijski jest bardzo liczny. Seminarja diecezjalne są przepełnione, kształci się tu kler parafjalny, zdolniejszych wybierają biskupi i wysyłają do Lowanium, gdzie jedni studjują filozofję ścisłą, drudzy zaś filologję, czy historję lub t. sw. „sciences", co odpowiada naszym studjom przyrodniczym. Wspominam tu o tem nawiasem, aby dać obraz stanu umysłowego kleru belgijskiego, w opisie uniwersytetu lowańskiego wrócimy jeszcze do tej sprawy. Po złożeniu doktoratu z filozofji lub też po osiągnięciu stopnia akademickiego na innych wydziałach, na co potrzeba 3—4 lat, wraca taki kleryk do seminarjum diecezjalnego, aby ukończyć swe studja teologiczne (3—4 lat). Każdy więc z nich, zanim zajmie jakie stanowisko, przechodzi porządną szkołę, ale też i każdy z nich kuty na wszystkie nogi, takich póżniej społeczeństwo musi poważać.

Wartość moralna kleru przedstawia się nie gorzej, duch Kościoła katolickiego jest przez tutejsze duchowieństwo nie tylko należycie zrozumiany, ale i przeprowadzony w czynie aż do najdrobniejszych szczegółów. Przytoczę tu choćby taki drobny szczegół jak sprawę śpiewu Gregorjańskiego. Biskupi belg., stosując się do życzenia Stolicy Apostolskiej, wprowadzają śpiew Gregorjański w kościołach parafjalnych i surowo jest wzbronione śpiewać inne pieśni. Mnie jednak wydaje się to już przesadą, bo przez to lud, nie znający śpiewu Gregorjańskiego, odepchnięty jest od udziału w nabożeństwie i ostatecznie śpiew ogranicza się w kościele do kilku zaledwie osób, które śpiewają wespół z organistą.

Księża są tu skrępowani nie tylko wielkim rygorem ze strony swej władzy, ale też i różnymi zwyczajami, które u nas wyglądałyby śmiesznie. N. p. wszyscy księża muszą nosić kapelusze t. zw. kościelne (chapeaux ecclesiastiques), podobne do francuskich, gdy ktoś z księży pokaże się na ulicy w świeckim kapeluszu, choćby zupełnie przyzwoitym, wszyscy patrzą na niego jak na raroga. Sam doświadczyłem tego początkowo, nie chcąc wydawać czterdziestu kilku franków (50 000 mp.) na kapelusz, ale ostatecznie, aby nie być przedmiotem ogólnego podziwu a częstokroć i niemiłych docinków ze strony gawiedzi ulicznej, zdecydowałem się na kupno kardynalskiego kapelusza.

Społeczeństwo nasze więcej jest wyrozumiałe pod tym względem, u nas nikt się nie dziwi ani nie gorszy, gdy zobaczy księdza n. p. w francuskim kapeluszu.

---

[1]) Annuaire statistique de la Belgique 1912, str. 228.

Jeśli chodzi o smak estetyczny, to w tej modzie niema go wiele, są bowiem księża, którzy w tych kapeluszach wyglądają już nie dziwnie, ale wprost komicznie. Co kraj — to obyczaj.

Gdy już mowa o pewnych charakterystycznych rysach duszy społeczeństwa i duchowieństwa belg., trudno nie wspomnieć jeszcze o jednym t. j. o zamiłowaniu Belgijczyka do ceremonji i pompy zewnętrznej, schodzącej aż do najdrobniejszych szczegółów. Msza św. żałobna, paradna, nie obejdzie się bez wspaniałego katafalku, bez mnóstwa kirów, porozwieszanych po całem prezbiterjum, bez całej plejady świec itd. Przygotowania te zapewne zatrudniają kilku ludzi przez pół dnia, a całe nabożeństwo trwa 3 kwadranse. Rozumiem paradę w wyjątkowych wypadkach, ale tu nie jest to wyjątkiem, lecz regułą.

Ta ceremonjalność objawia się nie tylko w liturgji kościelnej, ale i w częstych obchodach narodowych, Belgijczycy są już do tego tak przyzwyczajeni, że n. p. w większych miastach, jak w Brukseli, do muru każdej kamienicy są przytwierdzone na stałe sztaby żelazne dla zawieszania sztandarów. Prawie w każdą niedzielę czy święto domy są udekorowane, często odbywają się pochody i t. d.

(C. d. n.)

X. Stepa.

KRONIKA KOŚCIELNA.

Z Rzymu. Dary dla głodnych w Rosji napływają bardzo obficie: i tak OO. Jezuici zebrali w swoich kościołach i domach 300.000 lir, a kierowane przez nich „Apostolstwo modlitwy" 200.000. Z diecezji Parana przysłano 100.000, z Rochester (w Stanach Zjedn.) 187.900, z Bostonu 663.000 itd. — Dla Ormjan katolickich w Azji Mniejszej wysłał Pius XI 100.000 lir, a Siostrom ormjańskim Niep. Poczęcia, które musiały opuścić swoje domy dla sierót w Syrji, Anatolji i Konstantynopolu, odstąpił swój letni pałac w Castelgandolfo, gdzie 400 sierót znajdzie przytułek. Dobroczynność ta Namiestnika Chrystusowego budzi ogólny podziw i cześć dla niego nawet wśród niewiernych. — Nie szczędzi on też grosza na poparcie nauki i sztuki: dyrektor pruskiego Instytutu historycznego w Rzymie Dr. Kehr otrzymał od niego 5 miljonów marek na dalsze badania naukowe, a w szczególności na wydawnictwo „Regesta Romanorum Pontificum". — Pierwszej jego Encykliki, wydanej na Boże Narodzenie, której osnowę podały niedokładnie nasze dzienniki, nie otrzymaliśmy do dziś dnia w całości, dlatego nie podajemy jeszcze jej przekładu.

Rząd Mussoliniego okazuje się dla Kościoła życzliwym, a zwłaszcza wprowadzenie nauki religji jako przedmiotu obowiązkowego do szkół ludowych (dotąd uczono jej tam tylko na życzenie rodziców) trzeba mu poczytać za wielką zasługę, ale tu i ówdzie występują jeszcze faszyści przeciw duchowieństwu i dopuszczają się gwałtów: i tak niedawno wpadła ich banda w Casale (w Lombardji) w czasie lekcji katechizmu, znieważyła proboszcza i kazała mu na wieży kościoła zawiesić chorągiew trójkolorową. Nadto zniósł Mussolini (jak donosi korespondent solnogrodzkiej Kirchenzeitung w nrze 1-ym z r. b.) w Brixen dom misyjny św. Józefa i kazał wyrzucić jego wychowanków na ulicę(?). Mają więc katolicy słuszne powody do obaw i nieufności, chociaż Mussolini ma hasło na ustach: „Bóg i ojczyzna" i zakończył swą mowę programową wezwaniem „pomocy Bożej," czyli słowami, jakich chyba nie słyszano naj Montecitorio z ławy ministerjalnej od r. 1870.

Stosunki Watykanu z Francją są coraz lepsze. Obecnie rozważają w Rzymie kwestię, czy można zezwolić na tworzenie t. zw. „Związków dla kultu religijnego." przewidzianych w ustawie z r. 1905, ale zakazanych przez Piusa X, — Benedyktynom, wypędzonym z Francji, zezwolił obecnie rząd na powrót do opactwa Cystersów w Altecomba w Sabaudji, które im przyznano na własność. Przedtem już mogli wrócić Benehdyni z Solesmes i Benedyktynki, które przebywały dotąd na wygnaniu na wyspie Wight. Nadto zażądało ministerjum samo od Izby deputowanych upoważnienia, żeby mogło pozwalać wygnanym zakonom i kongregacjom na tworzenie nowicjatów w kraju. — Słynne Seminarjum św. Sulpicjusza w Paryżu, zabrane przez rząd po uchwale separacji państwa od Kościoła, oddano teraz kardynałowi Dubois w dzierżawę na lat 30 za opłatą roczną 50.000 franków.

List pasterski ku czci Ludwika Pasteur'a. D. 27-go grudnia r. zeszłego obchodzono w Paryżu z wielką uroczystością setną rocznicę urodzin jednego z najwybitniejszych przyrodników (ur. w Dôle r. 1822). Z tego powodu ogłosił kardynał Dubois, arcybiskup paryski, przepiękny list do wiernych swej diecezji, przypominając ogromne zasługi tego badacza, który odznaczał się także, jak wiadomo, wielką wiarą i pobożnością. Pasteur dowiódł m. in. niezbicie prawdziwości znanego pewnika, że nigdy żaden twór żyjący nie powstaje bez nasienia („omne vivum ex ovo"), że t. zw. „generatio spontanea" jest niemożliwa i przez to „złamał w rękach uczonych niewierzących broń często podnoszoną przeciw dogmatowi katolickiemu stworzenia." „Całe życie jego było apologją naszych wierzeń i najbardziej w oczy bijącym dowodem, że zawsze możliwa jest zgoda między wiedzą a wiarą". — „Po dobrych studjach" mawiał on „wraca się do wiary wieśniaka bretońskiego. Gdybym był więcej jeszcze studjował, miałbym wiarę wieśniaczki bretońskiej." Kiedy go przyjmowano do Akademji francuskiej, wypowiedział, chwaląc Littré'go, którego był następcą, wspaniałą mowę na cześć Boga, na cześć ideałów chrześcijańskich. Umarł spokojnie z krucyfiksem w ręku, w r. 1895.

Reinkarnacja.

Stary błąd, Czytelnikom „Gazety Kościelnej" dobrze znany! I nie byłoby powodu poruszać go na nowo, gdyby nie okoliczność, że zwolennicy tego poglądu, rozporządzając jakimiś zagadkowymi środkami, usiłują go szerzyć zapomocą książek, a schorzałe umysły chwytają ten niby — pokarm na podobieństwo dzieci, którym lepiej smakuje węgiel i sucha glina, niż strawa zdrowo przyrządzona.

Autor francuski Sédir napisał już, o ile wiemy, trzy tomy z tego zakresu, a znalazł skwapliwego tłumacza w naszym rodaku Janowskim — i tak „Wtajemniczenia", „Lata dziecięce Chrystusa" i „Kazanie na górze" dostają się do rąk polskiego czytelnika.

Pierwsze wrażenie po zapoznaniu się z treścią wymienionych książek jest bardzo przykre i budzi podejrzenie, czy autor, a może i tłumacz, nie należą przypadkiem do „neutralnego" narodu. Z poza mglistych bowiem wyrażeń, z niezrozumiałych okresów, a nawet błędów teologicznych, jedno jasno wynika i ogólną reść tworzy: chęć podkopania religji katolickiej i wpojenia czytelnikowi zdania: „Wierz, w co chcesz, bylebyś nie wierzył w dogmaty katolickie". Autor popisuje się znajomością literatury ascetycznej po to tylko, aby ją podważyć, osłabić, albo do swoich naciągać celów. Pismo św., jego zdaniem, powinno się tłumaczyć sposobem kabalistycznym, a wiarogodności takiej, jaką uznaje Kościół, nie powinno mu się przypisywać, gdyż nie jest autentyczne, Apostołowie bowiem, prostacy i Ewangeliści nie oddali myśli Chrystusa poprawnie, albo ją świadomie przekręcili. Za to istnieje jedyna niewzruszona powaga, której autor ufa, a jest nią... X. Loisy, apostata! Zdawałoby się, że zwolennik reinkarnacji pojmuje nieśmiertelność duszy w sposób, zbliżony do pojęć kato-

lickich, tymczasem wypowiada on bez wahania zdanie, że „duch, to to, co wdycha i wydycha", a więc para, albo ruch fizyczny, czy coś podobnego. A gdyby jeszcze kto miał wątpliwość, czy przypadkiem nie trzeba będzie po śmierci zdać rachunku ze swoich postępków, niech porzuci obawy, niech się nie lęka piekła, „bo piekło jako i niebo jest wszędy". Zbrodniarza sądzić nie należy w sądzie ludzkim, nie będzie go także sądził Bóg, bo „dusza nie upada", bo „zbawieni czy potępieni" to tylko chwilowy stan Któż wie zresztą, czy jest Bóg i co to pojęcie oznacza, kiedy „Chrystus to symbol", albo „wszechświat", Matka Boża to „bogini piękna", a trzej Królowie także „bogowie".

Jeżeli prawdą jest, że teorja reinkarnacji nawróciła kogo do katolicyzmu we Francji, czy w Polsce, to doprawdy zdumiewać się trzeba, jakie łamańce filozoficzne przechodzi czasem biedna dusza ludzka, zanim trafi na właściwą drogę. Zachęca wpradzie autor swoich zwolenników do dobrych czynów, do szlachetnego sposobu postępowania, do modlitwy, do darowania uraz, poniechania zemsty, a czynienia bliźnim dobrze, każdy jednak widzi, że jest to owa dobrze znana „religja poczciwych ludzi", religja w powietrzu zawieszona i nie wytrzymująca prób życia.

O tych wszystkich bałamuctwach wspominamy tylko mimochodem i wyrywają one jeszcze raz owo westchnienie Dawidowe: Deus! venerunt gentes in hereditatem Tuam, polluerunt nomen sanctum Tuum! Żeby jednak ubyło zbałamuconych, takich, co w dobrej wierze, czy z nieświadomości przyłączyli się do grona mistyków, uważamy za potrzebne wskazać im że bez słusznej podstawy szukają w Ewangeljach poparcia swych błędów.

Wiadomo, że dwóch mężów świętych Starego Zakonu według szczególnych zamiarów Bożych zostało żywo wziętych do nieba, aby znów w oznaczonym czasie powrócić na ziemię i dokończyć swego dzieła: patrjarcha Enoch i prorok Eliasz. Dlatego też mówią Apostołowie o Eliaszu: „Cóż tedy Doktorowie zakonu powiadają, iż Eliasz musi pierwej przyjść?" (Mt. 17, 10).

Te właśnie wzmianki o Eliaszu wyzyskują zwolennicy reinkarnacji i przytaczają słowa Chrystusa Pana: „A jeśli chcecie przyjąć, ten ci jest Eliasz, który ma przyjść". (Mat. 11, 14). Twierdzą oni, że Jan św., któremu Chrystus Pan tyle oddaje pochwał, to odrodzony Eliasz, to duch tego sławnego proroka, który wcielił się w Jana i nawraca znów żydów.

Słowa te jednak Chrystusa Pana nie wskazują na tożsamość Jana z Eliaszem, tylko na podobieństwo: świętości, zaparcia siebie, męstwa w głoszeniu woli Bożej i nie oglądania się na pogróżki nieprzyjaciół, „W duchu i mocy Eliaszowej" (Łuk. I, 17.) miał Jan poprzedzić Pana Jezusa i przygotować ludzi przez pokutę na Jego przyjęcie, podobnie jak przygotuje Eliasz swych ziomków na sąd ostateczny i powtórne przyjście Chrystusa. Nie mówi zresztą Chrystus Pan, że to jest Eliasz, który „miał" przyjść, tylko „ma" przyjść, zatem jeszcze nie przyszedł, a ten, który przyszedł i działa w mocy i duchu Eliaszowym, to tylko mąż, podobny do tamtego. Że taka była myśl Zbawiciela, wynika również z Jego słów, zapisanych wyżej: „Eliasz przyjdzie i naprawi wszystko". (Mt. 17. 11.) Na straszne czasy Antychrysta Bóg zachował Enocha i Eliasza, aby ratowali od wiekuistego zatracenia, kto zechce korzystać z ratunku. Przyjdzie jeden i drugi ponownie na ziemię, „aby dał pokutę narodom". (Eccli. 44. 16) Ale przyjdą nie ich dusze same, przyobleczone w cudze ciała, tylko Enoch i Eliasz we własnych osobach, z własnemi ciałami i duszami — nie może zatem być mowy o reinkarnacji. Bogu Wszechmogącemu przyszłoby zarówno łatwo wskrzesić zmarłych, albo duszom ich kazać wstąpić w inne ciała, nie uczynił jednak tego, tylko tych Świętych zachował jakby w letargu „w krainie żyjących", aby oni sami, jako przed wiekami, tak i przy końcu świata wystąpili w obronie czci Bożej i dla zbawienia swych rodaków.

To też „zrozumieli uczniowie, że im o Janie Chrzcicielu powiedział". (Mt. 17, 13.) Użył Pan Jezus podobieństwa, bynajmniej jednak nie twierdził tego, co słowom Jego podsuwają mistycy.

A dalej z niezliczonych miejsc Pisma św. wynika, że na wszystkich bez wyjątku ludzi wydał Bóg nieodmienne prawo, że pomrzeć muszą. „Postanowiono ludziom raz umrzeć, a potem sąd". (Eccli.. Żyd. 9. 27.) Jeżeli zatem przez śmierć rozumiemy rozłączenie duszy od ciała, to stanie się to tylko raz jeden, raz tylko przekroczy dusza próg wieczności i raz tylko odbędzie się nad nią sąd, od którego zależeć będzie wieczność cała — i kto na nim zostanie odrzucony czy potępiony, będzie potępiony nie czasowo, ale na zawsze. Jeżeli więc Sédir pisze: „nie sądźmy zbrodniarza" bo „potępiony" jest nim tylko czasowo, to jest w błędzie i sprzeciwia się nauce Chrystusa Pana. Ileż to razy nawoływał Zbawiciel do życia cnotliwego dla uniknięcia kar wiecznych, od których już niema wybawienia! „Nie bójcie się tych — mówił — którzy zabijają ciało, ale raczej tych, co ciało i duszę zaprowadzić mogą do piekła"! I raczej utracić na ziemi członki ciała lub nawet życie, niż dostać się do ognia wiecznego! A nie mówiłby był Chrystus Pan w ten sposób, gdyby istniała palingenezja i możność naprawy spełnionych uczynków — w nowem ludzkiem ciele, lub nawet w koniu, jak sądził Towiański.

Hipoteza palingenezji sprzeciwia się także innym słowom Pana Jezusa. Zbawiciel nasz ogłaszał jedno tylko odrodzenie, to jest na sąd ostateczny, po którem ciało nasze, chociaż będzie prawdziwe co do swej istoty, to przecie wolne będzie od pożądliwości. Nie mieli o tem pojęcia Saduceusze i pytali Chrystusa Pana o objaśnienie. Usłyszeli odpowiedź: „Błądzicie, nie rozumiejąc Pisma ani mocy Bożej. Albowiem w zmartwychwstaniu ani się żenią ani za mąż idą, ale będą jako Aniołowie Boży w niebie", (Mt. XXII. 29.)

Nie będą zaś twierdzili mistycy, że „odrodzeni" według ich pojęć, żyją jako Aniołowie Boży, nie żeniąc się, ani za mąż idąc.

Palingenezja dalej mogłaby być albo ogólna dla wszystkich ludzi, albo tylko wyjątkowa dla dusz wybranych. W pierwszym razie sprzeciwiałaby się wyżej podanym słowom Chrystusa Pana, w drugim trzebaby ją przypuścić chyba jako karę za winy, co w odniesieniu do dusz świątobliwych nie dałoby się pomyśleć i okrucieństwa takiego Bogu przypisać nie możemy. Byłoby przecież poniżeniem dla ducha doskonałego łączenie się napowrót z materją i to obcą — i z pewnością wybrani modliliby się gorąco: Od powietrza, głodu, ognia i wojny, i od takiego „odrodzenia" zachowaj nas Panie!

Wiemy zresztą, że reinkarnację potępił Kościół św. na soborze powszechnym V jako „doctrinam fabulosam".

X. B. Łaciak.

Nowe książki.

Ks Dr. Władysław Szczepański T. J.: „Egipt" Lwów Warszawa Kraków 1922. Zakład nar. im. Ossolińskich 8-o, str. XII+256. Cena 2400 m.

Wschód wogóle, a zwłaszcza Egipt ma dla dzisiejszego pokolenia szczególny urok: chciałoby się poznać tę prastarą kulturę, do niedawna tak pełną tajemnic, a obecnie coraz bardziej nam się odsłaniającą pod łopatą archeologów.

Zdaje się, że nikt z obecnie żyjących Polaków nie był bardziej powołany do zaznajomienia nas ze Wschodem niż Ks. Szczepański. Zwiedził on te ziemie wielokrotnie i — przygotowany należycie do swych naukowych podróży, dokonał bardzo ciekawych odkryć, którym poświęcił cały szereg dzieł w różnych językach (polskim, łacińskim, niemieckim, włoskim, arabskim). Z gruntowną wiedzą łączy też Ks. Sz. bardzo miły i barwny sposób opowiadania swych wrażeń: słynął on

z tego jeszcze przed wojną w Rzymie, kiedy to jego publiczne wykłady w Instytucie biblijnym największem cieszyły się powodzeniem. To też jak z jednej strony smutek nas ogarnął, że Ks. Sz. zraził się „hyperkrytyką“ i przestał tłumaczyć Pismo św., tak teraz smutek ten w radość się obrócił po przeczytaniu niniejszej książki. Ma ona wszystkie zalety dzieł autora i czyta się ją, jak najbardziej zajmującą powieść, tembardziej, że jest ozdobiona 240 pięknemi rycinami. Kto się napatrzył w różnych muzeach na sztywne postaci sfinksów i faraonów, ten będzie bardzo mile zdziwiony, przeglądając wiele rzeźb i obrazów odtworzonych w niniejszej książce, takie np. jak na str. 106 i 140—152: naprawdę, że one piękniejsze i prawdziwsze od wielu tworów sztuki dzisiejszej.

Cel dzieła jasno jest określony w przedmowie (str. VIII): „w sposób przystępny, chociaż na ścisłych studjach oparty, streścić dla kół naszej inteligencji wyniki badań nad Wschodem klasycznym“, a w tym tomie badań nad Egiptem. Wyniki te przedstawione są w 6 rozdziałach, których same tytuły świadczą o wszechstronności materjału: I. Egiptologja i jej prace. II. Religja starego Egiptu. III. Szkic dziejów Egiptu. IV. Kopalnie egipskie na Synaju. V. Literatura egipska (z licznemi wyjątkami z różnych rodzajów poezji i prozy). VI. Sztuka egipska.

Dla nas kapłanów szczególnie interesującem jest, jaki pożytek może nam przynieść ta praca w naszej zawodowej pracy. Najbardziej byłyby dla nas pożądane wiadomości o Żydach z czasów ich pobytu w Egipcie; niestety w pomnikach dotąd odkrytych bardzo mało o tem znajdujemy szczegółów (por. str. 68—69), co zresztą łatwo da się wytłumaczyć: zbyt przykre wtedy Egipcjanie przechodzili chwile, żeby je mieli przekazywać potomności.

Ale za to bardzo ciekawe wyniki dały już badania nad religją dawnych Egipcjan. „Najpoważniejsi egiptologowie... stwierdzają jednomyślnie, iż monoteizm pierwotnych Egipcjan nie ulega wątpliwości“ (str. 26). Przechowała się też w tym kraju wiara w Trójcę św. „Pisze o niej nie podejrzany w tym względzie Maspero (Histoire ancienne des peuples de l'Orient,[2] str. 27—28), co następuje: (Bóg egipski), jedyny co do istoty, trojaki jest w osobach. Jest ojcem przez to samo, że jest, a moc jego jestestwa jest taka, iż rodzi od wieków bez wyczerpania. Aby zostać płodnym, nie potrzebuje wychodzić poza siebie; w sobie samym znajduje możność rodzenia wiecznego. Jedyny pełnością swej istoty poczyna swój owoc, a ponieważ poczęcie w nim nie może się różnić od porodzenia, od wieków wydaje w sobie podobnego samemu sobie. Jest więc zarazem ojcem, matką i synem Bożym. Te trzy osoby poczęte z Boga, zrodzone w Bogu, nieodłączone od Boga, są Bogiem w Bogu, nie rozłączają jednak jedności, lecz stanowią nieskończoną doskonałość. Ten Bóg, jedyny w istocie, a trojaki w osobach, posiada wszystkie przymioty Boga: niezmierzoność, odwieczność, wszechwiadną wolę, nieograniczoną dobroć.“ (Str. 28—29).

Egipcjanie wierzyli w nieśmiertelność duszy ludzkiej, w nagrody i kary po śmierci i w zmartwychwstanie ciała. Każda dusza staje po śmierci przed sądem Ozyrysa: sąd ten opisany jest szczegółowo w wielu pomnikach („księgach umarłych“) i poucza nas, jak wzniosłą była etyka egipska. Oto niektóre z wyznań nieboszczyka przed tym Trybunałem (str. 129—131): „Nie postępowałem fałszywie wobec ludzi... nie znam nikczemności... nikogo ze sług nie oczerniłem przed jego przełożonym... nie byłem przyczyną niczyjego płaczu... nie postępowałem źle z nikim... miary zbożowej nie powiększałem, anim jej umniejszał... nie zabierałem mleka od ust dziecięcia... nie odpędzałem kóz od ich paszy... usta moje nie paliły (= nie raniły) nikogo... nie byłem głuchy na słowo prawdy... nie byłem wielomownym... nie chełpiłem się... dawałem głodnemu chleba i pragnącemu wody i nagiemu odzienie i rozbitkowi łódź... Mam czyste usta i czyste serce.“

Egipcjanie wierzyli, że z serca człowieka pochodzi wszystko dobre i wszystko złe: „Serce to jest, — mówi mędrzec wezyr Ptahhotep — które swego pana czyni posłusznym, albo nieposłusznym. Życiem, zbawieniem i zdrowiem człowieka jest jego serce“ (str. 105) Dlatego to serce jest ważone w czasie sądu pośmiertnego na wadze (str. 129). Dlatego tenże mędrzec nawołuje do pokory: „Niechaj twe serce nie pyszni się ze swej wiadzy. Zabawiaj się między niewiedzącymi tak, jak między oświeconymi“ (str. 104). Piękne on również daje nauki o unikaniu niewiast, o czci ojca i o strzeżeniu języka. Wiele wzniosłych myśli znajdujemy też w „Przemowach wymownego wieśniaka“ (str. 105—106) i w „Przysłowiach mędrca Ani“ (str. 152—153). Prześliczne są poezje świeckie i religijne: taki np. hymn do bóstwa słonecznego str. (135—140) żywo przypomina psalmy Dawidowe.

Już z tej garstki cytatów widać, jak zajmujące i pożyteczne dzieło dał nam Ks. Szczepański. Toteż z niecierpliwością czekamy na dalsze zapowiedziane tomy, których tematem będzie cywilizacja babilońska, egejska i hetejska.

Jeszcze jedna prośba do czcigodnego autora: — możeby Ks. Profesor co napisał do „Gazety Kościelnej“ o najnowszem tak ciekawem odkryciu Mr. Howarda Cartera w Tebach?

Ks. Stanisław Szurek.

X. Dr. Kazimierz Wais. „D z i w y h i p n o t y z m u“. Wyd. drugie, przerobione. Lwów 1923. Nakładem Tow. „Bibljoteka Religijna“. Stron 349 w 8-ce. Cena 4800 M.

Pierwsze wydanie tej książki ukazało się przed dwudziestu kilku laty jako odbitka z „Echa Przemyskiego“. W wydaniu nowem, które już oddawna okazało się potrzebnem, uwzględnił uczony profesor uniw. lwowskiego, autor Psychologji, Kosmologji, dwóch tomów wydawn. „Obrona religji katolickiej“ („Czy i jaki jest Bóg?“ i „O duszy ludzkiej“) itd., całą literaturę nowszą a przynajmniej dzieła najważniejsze, poświęcone temu przedmiotowi. Oświetla on gruntownie i wszechstronnie wszystkie kwestje, związane z hipnotyzmem, mówi o różnych stopniach i zjawiskach hipnozy, o hipotezach, któremi różni próbują ją wyjaśnić, o stanach do niej zbliżonych, o obłędzie, histerji, śnie, o używaniu jej dla celów leczniczych itd. Znajdujemy tu mnóstwo ciekawych przykładów, któremi autor ilustruje swoje wywody i wogóle trzeba powiedzieć o jego książce, że jest bardzo pouczającą, a zarazem stanowi lekturę bardzo przyjemną. W rozdziałach ostatnich mówi o stosunku hipnozy do moralności i do c u d ó w. Trzeba więc n. zd. poczytać zasłużonej już „Bibljotece Religijnej“ wydanie tego znakomitego dzieła w dzisiejszych tak trudnych warunkach za niemałą zasługę. *X. P.*

Ks. Dr. Wacław Kalinowski. „W y k ł a d w i a r y k a t o l i c k i e j“. Część III. D z i e ł o u ś w i ę c e n i a n a t l e d z i e j ó w A p o s t o l s k i c h i p r z y p o w i e ś c i C h r y s t u s o w y c h. Podręcznik na klasę trzecią gimn. niższego itd. Poznań. Księgarnia św. Wojciecha. 1922. Str. 291.

X. Dr. Kalinowski jest jednym z najpłodniejszych pisarzy naszych w zakresie podręczników do nauki religji. W r. 1921 poleciliśmy z przyjemnością w „Gaz. Kośc.“ jego Etykę (wyd. 2-e str. 176) i Dogmatykę (str. 231) a w r 1922 jego „Krótką historję świętą“ (str. 82) i „Wykłady wiary katolickiej“ (podręcznik dla kl. II gimn. str. 375). Teraz przysłano nam znów do oceny podręcznik dla kl. III, opracowany według nowego programu, zatwierdzonego przez władzę duchowną. W tej jednak książce uderzyły nas już przy pierwszem jej przeglądnięciu pewne szczegóły, przeciw którym musimy się oświadczyć. I tak uważamy (wraz z wielu innymi) wyliczanie w podręczniku szkolnym różnych krajów i miast, które obszedł św. Paweł w swoich p o d r ó ż a c h m i s y j n y c h (str. 198 nn.), za balast całkiem zbyteczny. Są to wiadomości, które nie mają dla religji żadnego znaczenia i zapewne bardzo niewielu kapłanów pamięta, że Apostoł był w czasie drugiej podróży swojej w Syrji, Cylicji, Likaonji, Galacji, Frygji i Mizji, a tem mniej mogą te szczegóły zająć uczniów i utkwić w ich pamięci, że ci nie mają żadnego wyobrażenia o owych krainach. Autor jednak nie tylko je wylicza, ale każe uczniom zadawać pytania: „Jakie kraje zwiedził św. Paweł w czasie swej drugiej i trzeciej podróży?“

(Str. 227). Jesteśmy przekonani, że egzaminując z religji w ten sposób, zniechęca się do niej uczniów i że należałoby tego wyraźnie zakazać jej nauczycielom osobnem rozporządzeniem.

Wogóle podręcznik ten zawiera dużo szczegółów, których potrzebę można zakwestionować, jak np. pouczenie, że „Biskupowi przysługuje tytuł Ekscelencji" (? str. 174; — w Małopolsce nie chcą biskupi, żeby ich tak tytułowano, nawet ci, którym przyznał ten tytuł dekret cesarski, mianujący ich „tajnymi radcami"). Całkiem niepotrzebna jest rycina na str. 139, wyobrażająca „sakrament małżeństwa", — ta sama, którą wytknęliśmy podręcznikowi, przeznaczonemu dla kl. II (w „G. K." z r. 1922, str. 375). Mówiąc o nieomylności Kościoła (str. 179), należałoby dodać, że także biskupi nie mogą być w błędzie, jeżeli uczą czegoś wszyscy jednomyślnie w rzeczach wiary, chociaż nie są zebrani na soborze powszechnym (por. Mies. Kat. i Wych. z r. 1916, str. 194 n. i. 439).

Dokładniejszy jednak rozbiór tego podręcznika musimy zostawić specjalistom w katechetyce, *X. P.*

„Adam Mickiewicz o życiu duchowem". Z pism, przemówień i listów zebrał **Stanisław Pigoń**. Poznań 1922. Fiszer i Majewski. Stron 135 w małym formacie.

Myśli tu zebrane są dobrze znane każdemu miłośnikowi naszej literatury, ale wielu zapewne czytelników przyjmie z wdzięcznością miłą tę książeczkę, zawierającą najgiębsze i najwznioślejsze nauki moralne zgodne z religją i ascetyką katolicką. Od siebie dodał wydawca „Wstęp", w którym podnosi z uwielbieniem wartość filozofji Adamowej: tu mielibyśmy pewne zastrzeżenia, bo p. Pigoń nie przypuszcza nawet, żeby Mickiewicz mógł kiedykolwiek — nawet w epoce, kiedy uległ nieszczęsnemu wpływowi Towiańskiego i uderzał na Kościół „urzędowy", — wypowiedzieć jakieś poglądy mylne (por. str. 9). *X. A. P.*

Tadeusz Chrostowski. „Parana." Wspomnienia z podróży w roku 1914." Poznań 1922. Księg. św. Wojciecha. Stron 237.

Jest to pierwszy tom nowego wydawnictwa, którego podjęła się ruchliwa Księgarnia św. Wojciecha, a które ma nas obdarzyć szeregiem książek z literatury podróżniczej. Autor był dwukrotnie w Paranie (w r. 1910 i 1914) w celach naukowych, a mianowicie jest on specjalistą w ornitologji. Opowiada zajmująco (chociaż niekiedy zbyt rozwlekle) dużo rzeczy ciekawych o tem, co sam widział i czego doświadczył w Paranie i o życiu jej mieszkańców, a zwłaszcza o napotkanych tam zwierzętach. Książka jest ozdobiona 16 u dobremi ilustracjami i pięknie wydana. *XP.*

Leonidas Andrejew. „Nocna rozmowa". Przekład z rosyjskiego. Warszawa 1923 Str. 64.

Dziwna to historja i niepodobna do prawdy, ale napisana żywo i zajmująco. Oto Wilhelm II zdobywszy miasteczko belgijskie, każe sobie przyprowadzić jednego z jeńców i rozmawia z nim o rozpoczętych strasznych zapasach wojennych, przyznając się otwarcie do barbarzyńskiej żądzy zniszczenia Belgji i Francji, chwaląc się swoją potęgą niezwyciężoną, która mu daje prawo do panowania nad światem itd. Nie możemy przyznać opowiadaniu temu większej wartości, ale niejeden zapewne, kto z bolesnem oburzeniem i zgrozą dowiadywał się o czynach Wilhelma, przeczyta je z pewną satysfakcją.

Dr. Franz Sawicki. „Lebensanschauungen moderner Denker". Paderborn. Schöningh. 1922. Stron 264 (wyd. 5-te i 6-te).

X. Sawicki, prof. sem. duch. w Pelplinie, pochodzący z rodziny polskiej, ale piszący tylko po niemiecku, zdobył już sobie zasłużoną sławę na polu literatury apologetycznej. Umie on pisać o tematach najtrudniejszych z gruntownością pożądaną, ale zarazem w sposób jasny i przystępny dla szerszych kół wykształconych, umie też polemizować z przeciwnikami religji w tonie spokojnym, szlachetnym i całkiem przedmiotowym. Te zalety jego pióra czynią i wymienioną powyżej książkę, oceniającą poglądy Kanta, Schopenhauera, Nietschego, Häckla i Euckena, lekturą przyjemną. Bardzo trafną i zajmującą jest jego krytyka filozofji Kantowskiej, której główne myśli nie dadzą się pogodzić z filozofją chrześcijańską, jak mniema prof. uniw. lwowskiego Wartenberg;[1]) wyborne jest streszczenie poglądów czterech innych pisarzy wymienionych, ale tu i ówdzie wydaje nam się trochę dokładniejsza ocena ich rozumowań w nowem wydaniu książki pożądaną. A w szczególności sądzimy, że o dziwacznej filozofji Euckena i o jego nowej „religji powszechnej" dobrzeby było powiedzieć coś więcej. Zdaniem tego profesora (w Jenie) przedmiotem wiary nie powinna być żadna w ogóle „nauka", tylko „obecność życia Boskiego w nas, a tem samem pewna idealność, a nawet Boskość w naszem własnem jestestwie". Religja może istnieć nawet bez wiary w Boga(!), czego ma dowodzić „stary i prawdziwy Buddyzm" itd.[2])

Kończąc, wyrażamy życzenie, żeby doskonała ta książka pojawiła się wkrótce i w przekładzie polskim.

X. A. P.

Odezwa

Zarząd Związku inwalidów wojennych Rzeczypospolitej, Koła we Lwowie ul. Ossolińskich L. 11, uprasza gorąco znaną z ofiarności P. T. Publiczność o przyjście temuż z pomocą, w trudnej jak na dzisiejsze czasy, pracy założenia bibljoteki i czytelni dla inwalidów, wdów i sierot wojennych przy Kole Związku we Lwowie, czego członkowie tak nasi, jakoteż i z prowincji natarczywie się domagają.

Kierownikiem czytelni i bibljoteki zamianowanym został inwalida wojenny, ks. Jakubowski, były kapelan Wojsk Polskich i obrońca Lwowa, członek wydziału naszej Organizacji, który w najbliższych dniach — upoważniony do tego, obejdzie domy prywatne, księgarnie, instytucje i t. p. i prosić będzie o darowanie do czytelni naszej książek, broszur i t. d.

Prosimy gorąco P. T. Publiczność, by raczyła łaskawie przeczytane, zarzucone a często zapomniane już książki, darować do naszej bibljoteki i czytelni, inwalidzi, wdowy i sieroty wojenne potrzebują bowiem także i odpowiedniej strawy duchowej, celem kształcenia się oraz godziwej rozrywki.

P. T. Administracje pism prosimy gorąco o łaskawe nadsyłanie do Czytelni naszej swych wydawnictw, za które już z góry składamy serdeczne „Bóg zapłać".

---

[1]) W jego wstępie do przekładu polskiego „Krytyki praktycznego rozumu" (Lwów 1911 str. XVIII) czytamy ze zdumieniem: „Zgodność Kantowskiej etyko-metafizyki z chrześcijańskim poglądem na świat jest widoczna... Nie można pojąć tej niechęci, z jaką do dziś dnia teologja katolicka odnosi się do filozofji Kanta... Krytycyzm Kanta może być kamieniem obrazy tylko dla racjonalistycznego kierunku w teologji, który wszystkie przedmioty wiary chce rozumem zgłębić i udowodnić" etc. Na to odpowiadamy: żaden myśliciel katolicki nie zgodzi się na twierdzenie Kanta, że istnienie Boga nie da się udowodnić rozumem, — żaden nie przemawia za etyką autonomiczną, żaden nie uważa modlitwy za jakąś praktykę zabobonną itd.

[2]) Por. jego „Der Wahrheitsgehalt der Religion", wyd. 3-e (Lipsk 1912), str. 159, 129 n. i nasz art. w „G. K." z r. 1919, str. 205 n.

Wiadomości diecezjalne.

Archidiecezja lwowska ob. łać.

Instytucję na prob. w Kaczanówce otrzymał X. Edward Szczerbowski, administrator tamże.

Habilitował się jako docent teol. fund. w uniw. lwowskim X. dr. Franciszek Madeja, zast. prof. tego przedmiotu w uniw. Jagiellońskim.

Zmarli:: X. Ludwik Weiss, proboszcz i dziekan w Mikulińcach ur. 1864 w. 1888. X. Marcin Maciak, prowincjał OO. Karmelitów, ur. r. 1873, w. 1897. *R. i. p.*

Diec. kielecka.

Przeniesieni XX.: J. Juchniewicz z Choronia do Wysocic; J. Sienkiewicz z Sobkowa do Choronia: J. Krawczyński z Sosnowca do Łęki; Gidlewski z wik. w Pilicy na prob. do Gorenic; S. Serwatka z Miechowa na wik. do Pilicy; K. Szeronos ze Szczekocin do Przegini.

Mianowany: X. J. Gruszczyński neoprezbiter na wik. do Skalbmierza.

Zwolniony został z prob. w Ulinie X. A. Mickiewicz i przeszedł na emeryturę.

Zmarli: X. J. Karaś, prob. w Wysocicach, i X. E. Hoilicer. *R. i. p.*

Diecezja tarnowska.

Zmarł X. Jan Bobczyński; prob. w Porąbce Uszewskiej, szambelan Ojca św. ur. 1847 w. 1874. *R. i. p.*

Diec. podlaska.

Mianowani: XX. prałat Tadeusz Osiński, — dziekanem dekanatu Radzyńskiego; Franciszek Szymkus, kapł. diec. kamienieckiej — administratorem par. Kodeniec; Jan Wüstenberg, kapł. diec, kamien., — administratorem par. Ortel Królewski.

Przeniesieni XX. **Proboszczowie**; Józef Żeliwski z Dołhy do Dołhobrodów; Franciszek Hordiewicz z Wisznic do Wohynia; Władysław Pióro z Żeszczynki do Wisznic.

Mianowany prefektem w Janowie Podlaskim X. Leopold Broda

Zmarł X. Edward Szubstarski, prob. par. Wohyń, ur. 1882 w. 1905. *R. i. p.*

Na wyd. „Gaz. Kośc.": przesłali P. T. Księża; Dr. Józef Paluch (ze Lwowa) 2300 m. Dr. Franciszek Lisowski (ze Lwowa) 10.000 m. Adam Knopiński (ze Lwowa) 5000 m. Adam Gyurkovich (ze Lwowa) 5000 m. Karol Czubryj (ze Lwowa) 2800 m. Józef Ramocki (z Głogowa) 500 m. Potrzebnicki (z Toustobab) 500 m. **Naddatki:** Najprz. X. Biskup kielecki Augustyn Łosiński 5000 m. Stan. Machnik (z Przeczyey) 500 m. Dr. Karol Dębiński (z Łukowa) 4400 m. Dr. Antoni Ratuszny (z Tarnopola) 3600 m. Leopold Turzyński (z Przemyśla) 1000 m. Bronisław Świeykowski (z Gorlic) 5000 m. Bron. Limanowski (z Brzeżan 2000 m. Bielecki (z Krzemieńca) 5000 m.

Odpowiedzi redakcji.

Przew. XX. **Ziel.** w **G.** Z przysłanych nam 10.000 mk. zapisaliśmy 1300 za 2-e p. 1922 a 8.700 na r. b. — **A. Paw.** w **Biał.** Pren. za r. 1922 uiszczona. — **M. J. i M. Mat.** Art. przysłane musieliśmy odłożyć dla braku miejsca; — zresztą inne jeszcze czekają na swoją kolej; — prosimy o cierpliwość. — **L. K.** w **Kr.** Jak już pisaliśmy w „G. K.", nie możemy przechowywać z roku na rok znaczniejszej liczby egz. każdego nru, na wypadek, że któryś będzie komu potrzebny, bo na to potrzebaby osobnego magazynu; — jeżeli jednak znajdziemy jeszcze wszystkie zażądane nry, prześlemy je chętnie. — **J. L.** w **Rac.** i **Wł. Piątk.** w **Kr.** Pren. za r. 1922 uiszczona w całości. **XX. Garbicz i Skonieczny:** Prenumeratorom w Rumunji i w innych krajach nie liczymy więcej za „G. K." niż zamieszkałym w Polsce, chociaż wysyłka jej za granicę kosztuje znacznie więcej. — WP. Kapitan **Malicki** w **Kielcach**: otrzymaliśmy 6.000 m. na r. b. i dziękujemy! Cieszy nas, że mamy pewną ilość abonentów i wśród świeckich, chociaż „G. K." przeznaczona jest głównie dla księży.

Wydawca i nakładca Tow. wzajemnej pomocy Kapłanów. Lwów, Murarska 49. Odpowiedzialny redaktor Ks. Dr. Pechnik.
Z Drukarni A. Gojawiczyńskiego, Lwów Kopernika 20.